Z Manali wyjechaliśmy bardzo wcześnie rano, bo od Leh dzieliły nas dwa dni drogi busikami. Krajobraz zmieniał się z każdym pokonanym kilometrem. Od Manali, przez Rohtang La do deszczowej Dżispy, gdzie postanowiliśmy przenocować, było jeszcze bardzo zielono. Potem drzew było już coraz mniej i mniej, a roślinność niższa, skarłowaciała… no i było coraz chłodniej. W wiosce Dżispa spędziliśmy noc, a następnego dnia rano znowu wpakowaliśmy się do naszych wehikułów, świadomi, że czeka nas kilkunastogodzinna przeprawa przez góry. Auta, którymi jechaliśmy zaczęły piąć się serpentynami nad przepaściami, ale widoki za oknami zapierały dech w piersiach. Mistrzowie kierownicy, którzy nas wieźli na wąskich drogach, sprawnie mijali inne wozy i trąbili przy każdym zakręcie, ostrzegając jadących z naprzeciwka „ZBLIŻAMY SIĘ", żeby nie doszło do wypadku. Byliśmy już bardzo wysoko, kiedy nagle okazało się, że most, którym mieliśmy przejechać jest uszkodzony i jego naprawienie może potrwać nawet kilka godzin, więc Kumar zarządził ewakuację z samochodów i przejście pieszo na drugą stronę rzeki po uszkodzonym moście do małej osady, w której można od biedy coś zjeść, skorzystać z toalety i kupić wodę. Jak postanowił, tak zrobiliśmy i jak tylko znaleźliśmy się wśród niskich zabudowań skleconych z desek i blachy falistej, otoczyły nas dzieci – kilkuletnie brzdące z umorusanymi buziami i odważnie pozowały nam do zdjęć, za co dostały od nas na pamiątkę drobne gifty. Zerkaliśmy też co jakiś czas w stronę mostu i dość szybko zauważyliśmy, że naprawiono szkodę i wznowiono ruch. Wsiedliśmy zatem do aut i po kilkunastu minutach jazdy… powtórka z rozrywki, czyli kolejny most i stracone minuty postoju. Potem już nie było mostów a coraz wyżej położone przełęcze do pokonania – na czterech, prawie pięciu i ponad pięciu tysiącach metrów nad poziomem morza, w tym Tanglang La (5.359 m n.p.m.).

Lancz zjedliśmy po drodze w osadzie Pang – szybki posiłek (zupki z torebek typu Maggi i słodka czarna herbata), bo było już popołudnie, a jazda po zmroku górami nie byłaby bezpieczna. Na przełęczach niektórzy z uczestników wyprawy zaczęli odczuwać drobne dolegliwości związane z rosnącą wysokością, jak trudności z oddychaniem, bóle głowy i mdłości, ale Leh jest położone na 3.500 metrów nad poziomem morza, więc jak tylko zjechaliśmy z 5 i 4 tysięcy ich zaprawione w bojach organizmy doszły do siebie. Z drogi do Leh zapamiętamy na pewno wszyscy i na zawsze kolory gór, smak krystalicznie czystego powietrza, ciszę niezmąconą dźwiękami miasta, wyprostowanego na dwóch łapkach świstaka wypatrzonego przez Julkę Setlak (patrolował okolicę, w sreberka niczego nie zawijał) i… rozmaite napisy z przydrożnych słupów w rodzaju: uśmiechnij się, życie jest krótkie – nie skracaj go bardziej, nie martw się – bądź szczęśliwy lub wykształceni ludzie nie śmiecą. I jeszcze jednego nie zapomnę, a mianowicie Kumara polującego z butelką wody na tych śmiałków, którzy wpadali w objęcia Morfeusza zamiast oglądać to, co za oknem (NIE SPAĆ – ZWIEDZAĆ!).

Do Leh przyjechaliśmy o zmroku i poszliśmy skosztować typowych dla Ladakhu przysmaków…